

NASZ PRZYJACIEL

DODATEK DO GŁOSU WĄBRZEŃSKIEGO

Nr. 9.

Wąbrzeźno, sobota 28 lutego 1925.

Rok 2.

Ewangelja

św. Jana. rozdz. 19, wiersz 1-5.

W ten czas Pilat wziął Jezusa i ubiecował. A żołnierze upłótszy koronę z ciernia włożyli na głowę Jego i szatę szkarłatową odziali. I przyehodzili do Niego, a mówili: Witaj królu żydowski i dawali Mu policzki. Wyszedł tedy zasię Pilat przed ratusz i rzekł im: Oto Go wam wiodę przed ratusz, abyście poznali, że w Nim żadnej winy nie znajduję. Wyszedł tedy Jezus, niosąc koronę cierniową i szatę szkarłatową.

Nauka

I N. Postu.

Pan Jezus zezwala, że szatan zbliżyć się może do Niego i kusić Go w trojakim zamiarze: 1) aby nas pocieszyć 2) aby nas pouczyć i 3) aby nam wysłużyć łaskę.

Do Najśw. duszy P. Jezusa żadna pokusa dostępu nie miała, wewnętrzne pokój zamącić nie mogła; pokusa szatańska była li tylko zewnętrzna. Inaczej ma się rzecz z nami.

Wskutek grzechu pierwotnego każdy z nas ma pewne złe skłonności, które już same w sobie są źródłem i przyczyną rozlicznych pokus. Tychto naszych złych skłonności czepiają się świat zepsuty i szatan. Złe skłonności z naszym rozwojem również rosną, a nie poskramiane wyrosnąć mogą na potęgę niszczyielską, która zdolna złamać życie nasze doczesne i wieczne. Zepsuty świat, zgorszenia świata wciskają się, wkradają w duszę, rozbudzają złe skłonności i wywołują gwałtowne pokusy. Również szatan — pośrednio przez świat działający, często też bezpośrednio oddziałuje na duszę, a podsyca te skłonności, które są najsilniejsze lub najmniej okiełznane.

Pokusy powstać mogą bez najmniejszej naszej winy, ale mogą być mniej lub więcej zawinione przez naszą nieostrożność, lekkomyślność, albo nawet wskutek naszej złej woli. Zawinione pokusy oczywiście są mniejszym lub większym grzechem. Zależnie od naszej winy, gatunku i stopnia pokuszenia. Niezawinione pokusy, mimowolne nie są jeszcze żadnym grzechem i nie będą grzechem, jeżeli je natychmiast, stanowczo i wytrwale zwalczamy, przeciwnie wytrwale, stanowcze zwalczanie pokus z miłości ku Bogu przynosi nam

wielkie zasługi, a wyrabia cnoty, bo cnota wyrobić się może przez walkę z przeciwnym błędem, z przeciwną złą skłonnością.

Pan Jezus dopuszcza pokusę, aby nas pocieszyć i dodać otuchy, abyśmy nie upadli na duchu, nie tracili odwagi, jeżeli nas napastują ciężkie pokusy, bo pokusa, choćby dni lub lata trwała, nie stanie się grzechem, jeżeli ją zwalczamy, jeżeli na nią się nie zgadzamy, przeciwnie przyczyni nam dużo zasług, jeżeli z miłości ku Bogu walczymy przeciw złemu. Jeżeli szatan śmiał się zbliżyć i kusić P. Jezusa, którego świętość poznawał, nie dziw, że nas tem śmielej nagabywać będzie, lecz nie przewyżczy nas, jeżeli ufnieć w Pana Jezusie pokładać i zwalczając pokusy będziemy.

A jak zwalczać pokusy?

Pokusę powstającą natychmiast zwalczając należy. Modlitwa i gorliwa praca są zwykłymi, skutecznymi sposobami. Poleca się po natychmiastowym odrzuceniu nie zwracać wcale uwagi na pokusę, wzgardzić nią, nie należy namyślać się, dlaczego taka pokusa nastąpiła, nie trzeba myśleć o treści pokusy. Wzbudzenie aktów wiary, nadziei i miłości, a zwł. miłości Boga i mocne postanowienie, za żadną cenę nie obrazić Boga, a potem pilne, uważne zajęcie się pracą, zwykle wystarczą na odrzucenie pokusy. Jeżeli nie czas po temu, by zająć się pracą, trzeba rozważać prawdy wieczne, rozmyślać o obecności Bożej, o śmierci, sądzie, piekle. Jeżeli powtarzają się pokusy zmysłowe, należy do modlitwy, rozmyślenia o prawdach wiecznych i do pracy dołączyć umartwienia: post, odmówienie sobie tej lub owej przyjemności lub wygody.

Szatan może nas kusić, ale nie może nas zmusić do upodobania, do zezwolenia.

Pomnąc należy, że sami możemy być winni, iż pokusy powstają.

Oczy to okna, uszy to drzwi do duszy, przez które tak łatwo zło się wkrada.

Jeżeli pójdiesz na bezwstydną widowiska, jeżeli ciekawie patrzysz na nieskromne obrazy lub osoby, nieprzyzwoicie ubrane, jeżeli słuchasz nieskromnych mów lub nieprzyzwoitych pieśni, jeżeli chodzisz na przedstawienia bezwstydnych lub dwuznacznych przedstawień teatralnych, nie dziw się, że pokusy powstają; nie dziw się, że pokusy przychodzą, jeżeli czytasz książki nieprzyzwoitej lub dwuznacznej treści. Zbyt poufne

obcowanie z osobami innej płci napewno wywoła pokusy — a tańce, zwł. nieskromne, albo nadmierne sprowadzają zbyt często pokusy.

Dlatego czujność i ostrożność są konieczne. „Kto w niebezpieczeństwo idzie, wniemganie” — dlatego „czuwajcie a módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie. Nie ufaj sobie — bo zarozumiałość pierwszym jest krokiem do upadku, gdyż pysznym i zarozumiałym Bóg pomocy nie daje, lecz daje łaski pokornym i ostrożnym. X.

XX

Szewc bogaty i ubogi.

W tym czasie, kiedy św. Jan Jaluźnik był patriarchą Aleksanrii, zarczyło się w tem wielkiem mieście następujące zdarzenie: W jednej ulicy mieszkali obok siebie dwaj szewcy. Jeden z nich miał bardzo liczną rodzinę, mimo tego wzbogacał się z dnia na dzień. Inny, który tylko o sobie miał staranie i nawet w niedziele i święta pracował, ledwie mógł wyżyć.

Raz ten biedny szewc skarżył się bogatemu na swą nędzę i pytał, dlaczego jemu tak dobrze się powodzi. Ten odpowiedział: „Kochany przyjacielu, mam ukryty skarb, z którego co niedziele i święto coś zaczerpnę”.

Wtenczas prosił go ubogi, aby mu ten skarb wyjawił. Zamożny szewc zaprowadził go w najbliższą niedzielę do kościoła na Mszę św. Gdy wrócili z kościoła, rzekł zamożny szewc: „Patrzaj przyjacielu! Tu, w kościele, jest mój skarb. Tym skarbem jest długosławieństwo Boskie, na które sobie zasługuje słuchaniem Mszy św. Zabieraj sobie i ty swoją część w niedziele i święta. Wierz mi, że wielki Dawca ma dosyć dla nas oby wóh”. — Kto Boga opuszcza, tego i Bóg opuszcza. Dlatego też kto w niedzielę pracuje, ten niezego się nie dorobi i nie może być szczęśliwym.

XX

Powrót tatylejben

ballady od Abrama Mycykiewicza.

Pójdźci mój dżatki, lećci wszystkie w kupy
Za miastu, het za rogatki,
Tam szi popatrzci, co to ma szi znaczyć,
Co nima dotąd naszymy drogi tatk.
Taty nie wraca choć już jest wieczoru,
Mamy tak tęskni za niogu,
I wy plakaci wszystkie mój bachoru,
A jego nima. Dlaczego?

Słyszcy to dżatki, pędzcy wszystkie w kupy
Het zd rogatki warszawski,
Tam szi schowali za jakiś chatupy
I patrzą z okim niebieski.
Starszy Abramciu coś mruczy pod nosa,
Mały Różuńcia szi krzywi,
Sruciu zyz Mojsim skrobi szi do włosa,
Kuźdyn szi niecierpliwi.

Wtem słychać krzyku, wóz jedzi na drogi,
Na wozu człowieku tam szedzi,
Skoknily bachory i krzyczy jak mogli:
„Tatylejben nasz jedzi!”
Taty zyz woza na ziemi wylizal,
Patrzy zyz twarzem bladegu,
„Kto was tu przyslal, do choroby ciężki,
Zabieraj jeden z drugiego!”

Abramku trasnil kulakim trzy raza,
Srucia za włosy tyrmosil,
Mojszi oberwal dwa klapsy po twarza,
Różuńcia szi tylko wyprosil.
Abramciu placzy, Sruciu aż zachodzi,
Różuńcia z Mojszim uczeka,
Bachory krzyku narobili taki,
Aż piesy z chatupów zaszczeka.

„Ruszajci! — Taty do dżeci zawola, —
„Ja z wozym jadę do miastu”.

Jedzi... aż ludzi obkoczą mu wkolo,
A ludziów byl kilkunastu....

Pyski ich chudy, kręcony wąsiska,

Wzrok dżyki, portki z tatami,

Palce wylazil z podarte buciska,

Kapelusz byl z zgiętym kryzami.

Krzyknęli dżatki, do taty przybieżyl

Za chalat szi jegu zakryli,

Nastraszył taty aż mu włos szi zjeżyl,

Ale zakrzyknil w tej chwili:

„Co chceci lajdaki? Dla was tu nic nie ma!

„To mój kartoflu, buraki!

„Ni róbcy harmidyr, bo ja ni wytrzymam

„I buchnym którego z kulakim!”

Nie słucha zgraja, ten na wóz wydrapał,

Czagni już worku na plecy,

Drugi znów jakiś buraki zabira,

Inny szi szmieju jak z hecy...

Wtem: „Stójcie holoty!” — ktoś zaczął pyskować.

I zaczął wyrzucić każdego —

„Ja tylko mam prawo towar konfiskować,

Bo jestem ajent od tego!”.

Taty przelęknil, patrzy na ten człowik,

Zyz strachu zatrzesil mu nogi;

Coś wepchnil mu w łapy, a un mu odpowi:

„Jedźcie już dalej bez trwogi!”.

Taty dziękuje, a un na to rzekni:

„Ni dziękuj, ty masz mądry główka,

„Pierwszybym towar skonfiskował taki,

„Gdyby ni twoja łapówka,

„Ona sprawila, że jedziesz bez szkody,

„Darzy wolnościm i zdrowim,

„Jej tylko podziękuj za to, co szi stalo,

„A jak szi stalo, opowim:

„Zdawna na szwiatu, jak wojna szalela,

„Drożyzna rośni — i bida,

„Życ trudno człowieku, trzeba kraść szi uczyć,

„Kto nie chce zdechnić jak gnida.

„Dzisiaj ja ide, patrę na gościnka

Idą twój dżeci przez drogi,

„Kuźdyn ma nogi, ma dobry bucika,

„A ja swój kupić ni mogli... —

„Patrę: paskudny przyszły na myśl strony,

„Laska upadła mi z ręki... —

„Ach! ja mam żonę i u mojej żony,

„Jest taki bachor maleńki..

„Jedź dalej w miastu, ja uczeć musze,

„Bo siedzić ni mam ja wcale gustu.

„I powim ci teraz... ja ni żadyn ajent

„A tylko prosty oszustu“... —



Złote ziarna mądrości.



W młodości przejmujemy się wszystkim tem, co wielkie, szlachetne. Jedna myśl piękna staje się odrazu własnością ogółu młodzieży, bo młode serca to jak ziemia, spragniona deszczu. Spieszyć się trzeba z sieją, bo zamiast ziarna wyda chwast.

CZARNY RYCERZ

Opowiadanie historyczne z XI wieku

9)

przez

WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

V.

Na rozstajnych drogach.

Burza na koniec ustała; poszła sobie na bory i lasy. Mikołaj wypytał się Jędzy o drogę do Krakowa i po obiedzie, który głównie Leszek sprzątnął, jak gdyby od trzech dni co najmniej nie nie jadł, puścił się w drogę.

— Bądźcie zdrowi dziedzie, mówiła Jędzą stojąc na schodkach i żegnając odjeżdżających, — a miejcie mnie w swej pamięci. Jak przybędziecie do rozstajnych dróg, weźcie się na lewo, a stamtąd już prosto, jak strzelił do Krakowa. A na rozstajnych drogach zróbcie krzyżyk na piersi, bo tam wisielec jest pochowany. Niech was Bóg prowadzi.

Odjechali już, a ona stała jeszcze w swej białej sukmance z włosiem rozwianym ichudą ręką podniesioną do góry, jakies znaki w powietrzu robiła.

Po burzy niebo się szybko wyjaśniło i złote słońce znowu się ukazało. W lesie powietrze było świeże, z liści krople deszczu, błyszczące pod światło rażącym blaskiem, z głośnym pluskiem spadały na ziemię.

Cała puszcza szemrała radośnie i brzmiała teraz wesolym swiergotem ptactwa. Co chwilę rozlegał się głos kukulki i ginał żalosem echem w oddali. Na słońce, którego promienie przedzierając się przez liście dębów padały na murawę, wypelzały gdzieś z ukrycia wielkie czarne robaki i cieszyły się ciepłem i życiem. Wąskie liście jaworów chwiały się, a smutna osiczyna drżała dreszczem radości. Po niedawnym upale teraz już chłodzie dnia letniego, wszystko zdawało się odżywiać, nabierać nowych sił i nowych nadziei.

Konie pod jeźdźcami parskwały wesolo i żwawo posuwały się po rozmiękłym, błotnistym gościńcu. Rycerz jechał jak zawsze mileczący, zato Leszek gadał, poddyhajac głęboko:

— Uf! no, nie ma co, najadłem się do syta. Prosiak był przedni i soperek też niczego. Jajecznicę, palec lizać! Fiu! fiu! baba sobie dobrze jada, poleć słoniny ma i ślicznie okrasila nią jajecznicę. Skwarków to się odjeść nie mogłem. Dobra babina, ani słowa, choć ją Jędzą nazywają. Bodaj się takie Jędze na kamieniach rodziły. Dała mi kawał szperki na drogę, zjem ją sobie, jak mi niemy rozstajne drogi.

Zamyślił się trochę, poruszył na siodło i gadał dalej.

— Po kiego licha ludzie urządzają rozstajne drogi? chyba po to, żeby się na nich błakać, i żeby wisielców chować. Powiadają też, że zły najbardziej lubi na rozstajnych drogach siadać. Uf! najadłem się, ani słowa. Jajecznicę ze skwarkami była wyborna.

Tak sobie gadał, wlokąc się z tyłu za swym mileczącym panem i na sen mu się zbierało. Las szumiał tak jednostajnie, pszczoły po lipach brzęczały, koń szedł wolnym miarowym krokiem, że oczy mu się same kleiły. Z razu otrząsał się jak

mógł, zrywał się co chwilę i mrużąc pod nosem jajecznicę ze skwarkami, zasypiał znowu, aż w końcu zasnął zupełnie. Kiwał się szkaradnie, kołysał w takt stępa końskiego, pochylał się aż na łęk siodła, prostował znowu, ale spał.

Obudziło go nagle zatrzymanie się konia. Roztworzył oczy, przetarł je ręką i mrużąc nieprzytomnie: „ani słowa” skwarki i soperek były przednie, ocknął się na koniec zupełnie i spojrział dokoła. Byli na polu, na nowinie wykarczowanej widać niedawno, bo pełno jeszcze pni, zasianej żytem, które się kołysało jak fala wodna.

Pólko to, mające może ze dwa stajania, otaczał dokoła las. Widać było białą korę brzoź, złotowo-zielone ich liście zwieszające się ku ziemi, pękate lipy, bijące ku niebu koroną swych zębanych liści, ogromne klony i brzozy smutne. Znajdowali się na rozstajnych drogach, na zętknięciu się których postawiony był ociosany siekiera, omszały od starości, krzyż sosnowy. Za krzyżem nieco na uboczu, tuż pod wielkim bukiem, którego gałęzie sięgały prawie ziemi leżało kilkanaście dużych kamieni i stos suchych gałęzi wszelkiego rodzaju.

Aha! mruknął Leszek, to tam wisielca pochowali!

I przeżegnał się nabożnie.

Ale co go najbardziej zdziwiło, to że pod krzyżem na wielkim głazie, zielonym prawie od mchu, siedział jakiś rycerz w sukni modrej, na której miał koszulkę drucianą, w obcisł. spodniach żółtych, w takichże ciżmach z nosami zakrzywionymi do góry i z mieczem w ręku. Na głowie rycerz ten miał szyszak stalowy z podniesioną przyłbicą.

Był to młody człowiek, z krótką jasną brodą, z twarzą okrągłą i rumianą. Za nim stali dwaj giermkowie, jaskrawo ubrani i trzymali cztery dzielne bułane konie. Jeden z tych koni obładowany był całkowitą zbroją luskową, a do jego siodła przywiązany był przesłiczny hełm złocisty z ogromnym pióropuszem, a raczej grzebieniem zrobionym z różnobarwnych paciorków szklanych, nadzianych na druty. Obok rycerza stała oparta o głaz duża tarcza, na czerwono pomalowana, na której widny był znak rycerski, przedstawiający głowę wołu z kółkiem przez nozdrza, przeciągniętem. Rycerz siedział sobie spokojnie i przypatrywał się ciekawie dużemi, niebieskimi oczyma Mikołajowi i Leszkowi.

Ten ostatni jeszcze się bardziej zdziwił, gdy spojrział na swego pana. Ten spuścił bowiem na twarz przyłbicę i siedział nieruchomy i milczący na koniu, jak gdyby lekał się odezwać, nawet głosem zdradzić. Trwało to przez chwilę, nakoniec nieznajomy rycerz podniósł się z kamienia i rzekł głosem męskim i na pół wesolym:

— Cny rycerzu, Pan Bóg mi cię zesłał, bo oto siedzę tu już od rana, całą burzę przetrzymałem i nie wiem, którą drogą jechać do Krakowa. Suszę się teraz na słońcu i czekam zmiłowania Boskiego, bo inaczej przyjdzie mi chyba zamrzeć z głodu i utrapienia w tej puszczy.

Przez chwilę panowało milczenie, jak gdyby Mikołaj namyślał się co ma odpowiedzieć nakoniec spytał;

(Ciąg dalszy, nastąpi.)

ROZMAITOŚCI

Kto sfalszował telegram?

Sfalszowany telegram skłonił cesarza austriackiego, Franciszka Józefa do wypowiedzenia wojny Serbji w lipcu 1914 roku. Pułkownik Seliger, który wówczas był szefem biura prasowego przy ministerstwie wojny, ogłasza rewelacje te w jednej z gazet wiedeńskich.

Seliger twierdzi, że Franciszek Józef podpisał wypowiedzenie wojny niechętnie i pod silnym naciskiem doradców. Do podpisu skłonił go ostatecznie hrabia Bertchold, minister spraw zagranicznych, który pokazał cesarzowi telegram donoszący, iż Serbowie wpadli na terytorjum Bośni i w walce zabili 400 żołnierzy austriackich.

Cesarz miał wtedy powiedzieć: „Jeżeli tyle krwi przelano już, w takim razie wojna jest nieunikniona.“

Zaraz na drugi dzień hrabia Kinski, dworzanin cesarski, poinformował pułkownika Seligera, że telegram, który Bertchold pokazywał cesarzowi, był sfalszowany i że w rzeczywistości tylko czterech Austriaków zginęło w utarczce nad granicą bośniacką. Kto jednak sfalszował telegram niewiadomo.

Słoń zakochany w czarnem dziewczęciu.

Jakkolwiek afrykańska Liberja jest niezależną republiką murzyńską, jednakże mieszkają w niej młode księżniczki, które przyjaźnią się z ogromnymi słoniami i płoną czasem podzwrotnikową miłością do białych kawalerów.

Mała księżniczka nazywała się Krystyna i w trzecim pokoleniu była już chrześcijanką, jako podarunek chrzestny otrzymała ogromnego białego słonia, który zwał się Bob. Był on dziwnie łaskawy, bardzo zmysłny i przywiązany do ludzi. Lubił on szczególnie małą księżniczkę Krystynę, bo mu znosiła łakocie i bardzo czule umiała go pieścić. Tak się raz złożyły sprawy, że mała księżniczka postanowiła opuścić swą ojczyznę zwłaszcza, że niejaki mister John, agent angielskiej firmy handlowej miał poślubić 15-letnią piękność liberyjską, a za otrzymany posąg miał otworzyć w Londynie hotel i restaurację dla murzynów.

Celem powiększenia kapitału zakładowego słoń Bob został sprzedany za 100 angielskich funtów jakiemuś nieznanemu przedstawicielowi cyrku, czy menażerji. Ułynęło kilka tygodni i młode małżeństwo po zlikwidowaniu swych interesów wyruszyło w drogę do Europy.

Mr. John miał do załatwienia jakieś ważne zlecenia firmy, dla której pracował w Saidzie. Chcąc zrobić żonie przyjemność, zabrał ją ze sobą do cyrku, gdzie jako jeden z numerów programu pokazywano tresowanego słonia. Zaledwie olbrzym ukazał się na widowni, mała księżniczka nie mogła stłumić wrażenia, jakie wywarło na nią ukazanie się towarzysza lat dziecięcych.

— Bob, mój drogi Bob — wyrwało się z jej piersi.

Na ten okrzyk słoń nastroszył uszy, wbił swe przenikliwe źrenice w zebranych widzów, a zobaczywszy Krystynę w jednym z dalszych rzędów, wyłamał potężnym szarpnięciem trąby

żelazną kratę i nie dbając na okrzyki publiczności przestraszonej, puścił się pędem ku swej przyjaciółce. Można wyobrazić sobie popłoch wśród widzów.

Mr. John zaszedł słonowi drogę, chcąc go zawrócić z powrotem do klatki. Widok jednak sprawcy rozłąki z ukochaną księżniczką napełnił słonia nieopisaną wściekłością. Porwał go w trąbę i cisnął z taką siłą o ścianę, iż biednemu Johnowi złamał obie nogi i żebra. Po załatwieniu się w ten sposób z przeciwnikiem, słoń doszedł do Krystyny i wydając radosne chrząkania, przyklął u jej nóg, oczekując dawno nieznanego pieszczoł.

Kopanie djamentów w Kanadzie.

Angielskie stowarzyszenie dla rozwoju nauki odbywa swe zebrania i omawia ciekawe kwestje naukowe. Między innymi uczony dr. Kunz z New-Jorku stwierdza, że w pokładach z epoki lodowej w stanach Ohio, Indiana, Michigou i Wisconsinie odnaleziono przeszło 100 djamentów. Dr. Kunz odkrył, że te djamenty zostały przyniesione z odłamkami skał przez lodowce z Kanady, gdzie bez wątpienia znajdować się powinny całe kopalnie djamentów.

Odłamki skaliste, w których odnaleziono djamenty, są podobne do skał znajdujących się w obfitości w rozmaitych częściach stanu Ontario. Jeden z djamentów, znalezionych w Ameryce ważył 17 karatów i znaleziono go przy kopaniu studni w Wisconsinie. Przeszło sto innych djamentów znaleziono w warstwach zaniesionych w okresie lodowym z Kanady.

W Ontario w żwirze odnaleziono djament trzydziesto karatowy.

Bez wątpienia kopalnie djamentów egzystują w pewnych częściach Kanady i przez uważne badanie kierunku na niesionych warstwach przez lodowce północy można odnaleźć punkta, gdzie te kopalnie znajdować się powinny. Wszystkie kopalnie djamentów w świecie nie obejmują więcej nad cztery mile.

W swoim ruchu południowym lodowce musiały opierać się o powierzchnię pól djamentowych zabierając z sobą djamenty pozostawiając je na przestrzeni tysięcy mil.

Wesoły kacik.

Złe czasy

- Serwus, Antek!
- Złam nogę.
- Cóżes tak skrzywiony?
- Ot czasy,
- Co? Pech miałes?
- A niech pierony.
- Gadejże,
- Stał ci facet, taki fajny panisko...
- I co?
- Ta co? Zachodzę mu ostrożnie, blisko, wsadzę ci łapę do kieszeni.....
- A w kieszeni dziura.....
- Gdybyż to. Dzisiaj człowiek mało gdzie-co wskóra.
- No więc?
- Facet ci juha z okazji korzysta i ściąga mi pierścień z palca.
- Aj do trzysty! A to czasy.
- Coraz lepsze.....
- Ha, no! Jest nadzieja, że władza przed „panami” będzie strzedz — złodzieja.